

Uroczy spektakl dla najmłodszych w krakowskim Teatrze Groteska

Łabędzie skrzydła

Teatralne pomysły przychodzą drzwiami. Bajkopisarz siada przy swoim wielkim biurku, spogląda na pustą kartkę, a z jego głowy wyfruwają myśli. I choć nie widzimy Pana Andersena, który gdzieś tam, daleko, w innej części domu, mozoli się nad nową frazą, to raz po raz otwierają się szeroko skrzydła jego wyobraźni i raz po raz przylatują do nas niczym piękne łabędzie jego kolejne historie. Tym razem siadając na widowni Teatru Groteska możemy być pewni, że piórko poezji muśnięcie naszą wrażliwość, niezależnie do tego, czy mamy trzy, trzynaście, czy nieco więcej lat.

Bo w „Brzydkim kaczątku”, w reżyserii Beaty Pejczy i ze scenografią Pawła Pawlaka, wszystko rodzi się w głowie bajkopisarza. Bajkowe postacie niczym potulni lokaje czekają przed drzwiami. To zza nich wyskoczą kolejne fragmenty opowieści o Brzydkim Kaczątku (Tomasz Kowal), które było ładne inaczej. Co tu dużo ukrywać, było oczywiście paskudne. Gdzież mu było równać do słodkich żółtych kaczuszek, które wysie-



Brzydkie Kaczątko tuż po wykluciu nie mogło konkurować urodą ze swoim żółtym rodzeństwem

FOT. JACEK KOZIOL

działa kacza mama (Monika Filipowicz). Ani to pogłaskać, ani przytulić. Wprawdzie kacza mama udawała wszystkim, że jej ostatnie dziecko jest całkiem urodziwe, ale te zwiady zrzucmy na karb matczynej miłości.

Zresztą już od samego początku coś z nim było nie tak. No, bo jajko, z którego miało się wykluć, swoją wielkością przypominało raczej nadmu-

chany, gigantyczny balon, który miało się ochotę tylko podrywać. Inne kaczki w spektaklu wykluwały się z gracją, przebijając skorupkę włożoną do eleganckiego koszyka. Zresztą ich proces przychodzenia na świat to reżyserski majstersztyk Beaty Pejcz. W jej wizji tylko Brzydkiemu coś od początku nie szło. Rodził się i rodził, i za żadne skarby nie mógł zobaczyć słońca. Aż

w końcu banalnie pękł od góry, niczym sprawnie odcięta skorupka w jajku na miękko. Pękł, by pozostałych denerwować swoją innością.

Pewnie też zdenerwował bajkopisarza, w którego głowie się wykluł, bo co chwilę przez teatralne drzwi Pan Andersen podsyłał mu nowe przeszkody na niełatwej drodze życia. A to go złośliwe indyki poszturchały, a to kot z kurą potraktowali gorzej niż służącego. Brzydkie nie miał łatwo i raz po raz musiał lizać rany, owijając swoje drewniane skrzydła brudnym bandażem.

Aż w końcu bajkopisarz się zlitował i pojawiły się na horyzoncie piękne łabędzie. Kiedy Brzydkie wyleczył swoje połamane skrzydełka, okazało się, że jest tak samo piękny jak one, piękny swoją innością, którą podesłała mu wyobraźnia Pana Andersena – bajkopisarza, którego pomysły przechodziły przez drzwi, by w końcu zostać zapisane na skrzydłach łabędzi. Te fruujące kartki pozostały na długo w przed oczami tych, którzy mają trzy, trzynaście i więcej lat.

MAGDA HUZARSKA